



PODRÓŻNIK BEZ POWODU

Łut szczęścia

KATARZYNA MANISZEWSKA

NA SZLAKU

Podróżnik bez powodu

Łut szczęścia

Mojej Mamie

Katarzyna Maniszewska

Podróżnik bez powodu

Łut szczęścia



Poznań 2016

Redakcja
Piotr Szmajda

Korekta
Katarzyna Wojsław

Projekt okładki
Joanna Bruch

Zdjęcie na okładce
Jedna z wysp Archipelagu Padaido (Indonezja)
Fot. K. Maniszewska

Zdjęcia
Katarzyna Maniszewska

Mapy
Dominik Szmajda

Wykorzystano materiały ze strony FreeVectorMaps.com

Copyright © by Katarzyna Maniszewska 2016

Printed in Poland

Wydanie 1, 2016

ISBN 978 -83 -65419-11-8

PRZYGOTOWANIE, DRUK I DYSTRYBUCJA

DM Sorus Sp. z o.o.

ul. Poplińskich 12A, 61-574 Poznań

tel. (61) 653 01 43

sorus@sorus.pl

księgarnia internetowa

www.sorus.pl

Recenzuj książkę

Soundtrack

Intro	9
<i>What A Wonderful World</i>	
Borneo	13
<i>Fortunate Son</i>	
Wietnam	43
<i>Take It As It Comes</i>	
Indonezja	55
<i>Stairway To Heaven</i>	
Sulawesi	87
<i>Going To Hell</i>	
Papua	99
<i>Get Up, Stand Up</i>	
Birma	119
<i>Mixed Emotions</i>	
Indie	131
<i>All You Need Is Love</i>	
Kambodża	147
<i>Simple Man</i>	
Laos	155
<i>Hungry Like The Wolf</i>	
Sri Lanka	163
<i>O, Lucky Man!</i>	
Wyspa Wielkanocna	175
Bonus track	187
Podziękowania	192
Playlista	193

*Granice? Nigdy żadnej nie widziałem,
ale słyszałem, że istnieją w umysłach niektórych ludzi.*

Thor Heyerdahl

Intro

Łut szczęścia jest nie do przecenienia w samotnych podróżach. Dzięki niemu poznałam na szlaku ludzi, którzy nauczyli mnie więcej niż wszystkie szkoły razem wzięte. A spotykałam na swojej drodze awanturników, podróżników, naukowców, urzędników, bojowników o wolność, różnej maści kryminalistów, pisarzy, aktywistów. To moi najlepsi nauczyciele, a jednocześnie największa inspiracja, i to im poświęcone są spisane w tej książce historie.

Jej tytuł nawiązuje do mojego e-booka z 2012 roku *Podróżnik bez powodu. Impresje z drogi*¹. Tytuł *Podróżnik bez powodu* jest mi na tyle bliski, że i ta książka go nosi. Moje podróżowanie takie właśnie jest – bez powodu, a często i bez konkretnego celu. Znajomi mawiają, że i bez pomysłu... Ale do samotnej wyprawy nie są one potrzebne. Niezbędne są natomiast: determinacja, otwartość i odrobina pieniędzy. Przy czym to ostatnie naprawdę nie jest najważniejsze. Zwłaszcza, kiedy jest się *backpackerem* – turystą z plecakiem. Determinacja jest natomiast istotna, inaczej człowiek szybko zawróciłby z trasy. Chociaż najsilniejsza wola i determinacja czasem nie wystarczą, jeśli los nie będzie ci sprzyjał. *Last but not least* – otwartość. Otwartość na obcych ludzi, kultury i zwyczaje, które mogą nam się wydawać, nie ukrywajmy, absurdalne, dziwne, a czasem przerażające.

1 W którym znajdziecie także historie z podróży po USA i Europie.

Podróżuję głównie sama. Żeby było trudniej (a właściwie: ciekawiej), staram się nic nie przygotowywać przed wyjazdem, nie rezerwuję miejsc noclegowych, nie robię planów. Łąduję i wtedy zaczynam kombinować, co zrobić. Skutkiem tego na przykład po wylądowaniu po wielu godzinach w Kuala Lumpur zdecydowałam, że od razu wyruszę w dalszą trasę na Borneo. Na lotnisku sprawdziłam, jak nazywają się większe miasta na wyspie i do którego z nich można dolecieć najtaniej. Tym sposobem zawitałam do Kuching, gdzie rozpoczęła się moja trzytygodniowa włóczęga po tej malowniczej wyspie.

Czasami korzystam z couchsurfingu. Couchsurfing.org to internetowa społeczność, do której należą osoby, które oferują u siebie nocleg turystom, oraz podróżnicy, którzy z takich noclegów korzystają. To nie tylko oszczędność pieniędzy, ale przede wszystkim wspaniały sposób na poznanie danego miejsca z prawdziwie lokalnej perspektywy. Cenię to bardzo i nawet gdy nie *couchsurfuję*, udaje mi się poznać „lokalną perspektywę”. I tu wracamy do otwartości: z ludźmi należy rozmawiać, uśmiechać się do nich, nie bać się zagadać, a kiedy trzeba – pomóc. W Laosie w mieście Phonsavan tak się złożyło, że naprawiłam zlew w hostelu (nic wielce skomplikowanego, podłączyłam po prostu rury do odpływu), przeprowadziłam gościnną lekcję w wiejskiej szkole nieopodal miasta, a panom z biura podróży pomogłam sformatować tekst w Wordzie – i nagle okazało się, że całe miasto stoi przede mną otworem! Ludzie zaczynają opowiadać o życiu, historii, o swoim kraju. Zdobywasz zaufanie, kiedy w praktyce wykazujesz, że nie jesteś kolejnym dupkiem z Europy, który przyjechał skorzystać z tanich narkotyków.

Rozmawiałam kiedyś ze znajomym globtroterem, amerykańskim dziennikarzem, który przemierzał świat z plecakiem.

– Kobiety często mówią mi – powiedział – że chętnie też by tak podróżowały, ale nie mogą, bo są kobietami. Mężczyźni jest łatwiej, a dla kobiety to po prostu niemożliwe.

Bzdura. To jest segregacja plciowa w naszych głowach. Oczywiście, nie wybrałabym się teraz sama w celach turystycznych do Somalii czy Afganistanu, ale, umówmy się, kwestia płci jest tu drugorzędna. Jeśli kobieta stosuje się do kilku prostych zasad, sprowadzających się w gruncie rzeczy do zdrowego rozsądku, nie ma się czym przejmować. Należy szanować zwyczaje kulturowe, nie paradować w obcisłych strojach w kraju muzułmańskim, zasłaniać włosy, nosić luźne, stare ubrania, zakrywające ramiona, nogi i kobiece kształty; nie pić alkoholu z obcymi mężczyznami, nie szlajać się nocą po podejrzanych dzielnicach, zamykać drzwi na klucz w pokojach ho(s)telowych, mieć przy sobie gwizdek ratowniczy, żeby w razie czego wezwać pomoc, racjonalnie oceniać sytuację... Oto złote zasady bezpieczeństwa, z których każdą zdarzyło mi się kiedyś złamać.

W podróży nie zaszkodzi odrobina bezczelności i asertywności, zwłaszcza w takich, dajmy na to, Indiach, gdzie mężczyźni potrafią być mocno natarczywi. Miałam wrażenie, że choć natarczywi, to raczej nie posunęliby się do fizycznej agresji, lecz późniejsze doniesienia medialne o napaściach na kobiety wydają się jednak tej tezie przeczyć. Należy być czujnym. Muszę przyznać, że moje różne perypetie po drodze sprawiają, że czasem tę czujność tracę – chociaż wynika to pewnie raczej z charakteru niż doświadczenia podróżniczego. Czasem po prostu nie umiem (a może i umiem, ale nie chcę) ustąpić. I tak we wspomnianych już Indiach wdałam się w scysję połączoną z rękoczynami, która nie przerodziła się w większą bójkę tylko dzięki interwencji przechodniów (żeby nie było wątpliwości – to ja bym oberwała). Więc jeśli coś mnie kiedyś zgubi, to mój temperament.

Żebyśmy się dobrze zrozumieli – nikogo nie zachęcam do nazbyt ryzykownych zachowań. Trzeba mierzyć siły na zamiary. Jak ktoś nie ma łatwości nawiązywania kontaktu i po prostu nie

INTRO

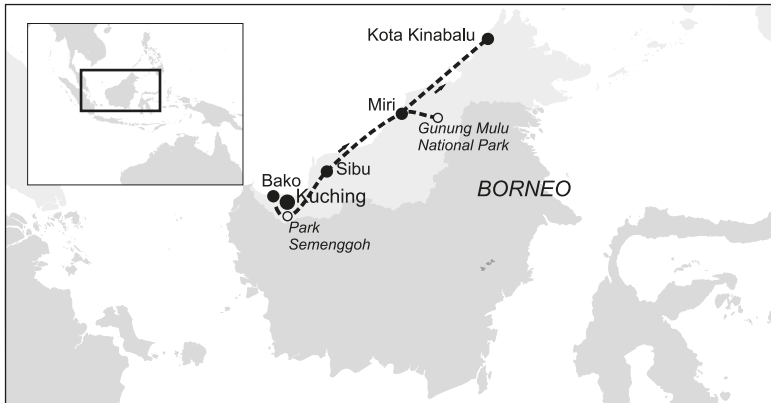
lubi obcych, za to mocno ceni prywatność, nie potrafi korzystać z kompasu, nie zna języków i nie umie w razie czego dać jakiegoś chamowi po ryju – to niech lepiej odpuści sobie egzotyczne podróże w pojedynkę.

I nie pytajcie, proszę, czy się nie boję podróżować sama. Co chwila ktoś mi zadaje to pytanie. Nie. Nie boję się. Czego tu się bać? Jak ma ci spaść cegła na głowę, to spadnie – niezależnie od tego, czy jesteś sam, czy w towarzystwie. Czy w Polsce, czy na drugim końcu świata.

Co powiedziawszy, zapraszam do lektury mojej podróżniczej opowieści!

Zwykłam mawiać, że moje podróże mają znakomitą ścieżkę dźwiękową. Dlatego każdemu rozdziałowi niniejszej książki towarzyszy inny utwór muzyczny – zachęcam do czytania przy dźwiękach muzyki, której ja sama słuchałam na danej trasie lub która w szczególny sposób wiąże się z miejscami i bohaterami tej książki.

Borneo



Borneo było jednym z moich wymarzonych kierunków od lat. W poprzedzających wyjazd, niezwykle pracowitych miesiącach moje eskapady ograniczały się do krótkich wypadów w odwiedziny do mieszkających w Europie przyjaciół. Brakowało mi drogi. W ciepły sierpniowy dzień, tuż przed wyjazdem na lotnisko, pakowałam w pośpiechu ostatnie rzeczy do plecaka.

– Bilet, paszport, książeczka szczepień, kompas, kasa, latarka, repelenty, papierosy... – mówiłam sama do siebie, sprawdzając, czy spakowałam wszystko co najważniejsze.

Wydawało mi się, że o niczym nie zapomniałam. Ha! Oczywiście, że zapomniałam... Ale o czym, opowiem w dalszej części tej historii.

Pozostało wskoczyć w „ciuchy na drogę”. Zawsze wyglądam tak samo, wybierając się w podróż – mam nieśmiertelną kurtkę safari, która była ze mną w Europie, Afryce, Ameryce i Azji, buty trekkingowe, stare jeansy, czarny T-shirt, okulary przeciwsłoneczne oraz *buff* (czyt.: baf), czyli rodzaj kołnierza z mikrofibry – mistrzowski wynalazek. Mój *buff* ma napis *Adventure Begins Today* i jest jednym z najfajniejszych gwiazdkowych prezentów, jakie kiedykolwiek dostałam. Ma już ładnych kilka lat i towarzyszył mi podczas wędrówki po Azji, służąc i za czapkę, i za opaskę, i za szalik, i za opatrunek, a odcięty z niego szczyrykiem fragment okazał się niezawodny przy związywaniu włosów.

W momencie, kiedy ubieram się w mój podróżniczy „mundur”, zakładam plecak i ruszam na lotnisko... Nie, nie staję się inną osobą, nie nabywam supermocy – po prostu czuję wówczas radość i ekscytację. Jakbym przestawiała się na tryb „podróż”. Automatycznie przestaję stresować się jakimikolwiek sprawami. Nie denerwuję się podróżą, a wielogodzinne loty uwielbiam. Mam wreszcie czas na to, żeby pomyśleć, posłuchać muzyki, nadrobić zaległości filmowe i po prostu odpocząć. Lubię nawet kilkugodzinne międzylądowania, podczas których zwykle siedzę gdzieś z kawą (najczęściej na podłodze, koło kontaktu) i piszę, obserwując ludzi. Wybierając się w podróż – mając tylko bilet, bez żadnego planu – cieszę się na samą myśl o wyzwaniach, które czekają mnie po drodze. Zmęczenie, a czasem nawet z mordowanie, podczas podróży to dla mnie najlepszy relaks.

Do wyprawy na Borneo się nie przygotowałam. W ogóle. Postanowiłam wynieść moje samotne eskapady na nowy poziom i niczego nie sprawdzać przed wyjazdem. Choć miałam przewodnik, to go nie przeczytałam. Pomyślałam, że to będzie podwójnie ekscytujące. Wylądowałam w Kuala Lumpur i stwierdziłam, że właściwie mogłabym od razu lecieć dalej. Odebrałam bagaż, usia-

dlam i sprawdziłam w przewodniku większe miasta na Borneo. Znając już nazwy, ruszyłam po bilety. W ofercie był akurat bardzo atrakcyjny cenowo lot do Kuching. Niestety, dopiero za pięć godzin. Zdecydowałam, że poczekam, a w tym czasie poczytam przewodnik i wypiję kawę. „Znakomicie – pomyślałam, gdy znalazłam nazwy jakichś hotelików w Kuching – a zatem ramowy plan już jest”.

Kuching

Wysiadłam na lotnisku w Kuching koło godziny 21.00 i pojechałam do hostelu. Nie było wolnych miejsc. Poszłam do drugiego hostelu. Nie było wolnych miejsc. Do trzeciego. Nie było wolnych miejsc. Do czwartego, piątego... Z każdym krokiem mój plecak zdawał się ważyć coraz więcej. Byłam tak zmęczona, że myśl o położeniu się i przekimaniu na zaśmieconym i śmierdzącym szczytnami chodniku wydawała się coraz bardziej kusząca. Przemierzałam miasto od hotelu do hotelu. Nigdzie nie było miejsc. Później okazało się, że akurat odbywało się jakieś lokalne święto, rodzaj festiwalu, i wszystkie tańsze miejsca noclegowe były zarezerwowane z dużym wyprzedzeniem.

Idąc niewielką uliczką, zobaczyłam oświetlony, duży, drewniany stół wystawiony przed kilkupiętrową kamienicą. Siedziało przy nim sześciu młodych mężczyzn. Kilku z nich bez koszul, bardzo elegancko umięśnionych – nie głupkowato przypakowanych z napuchniętymi mięśniami, jak nasi niektórzy wielbiele siłowni, ale szczupłych, z wyraźnie zaznaczonymi wąskimi pasmami mięśni, taki typ umięśnienia „boksera tajskiego”. Na tychże imponujących klatkach widniały niesamowite tatuaże. Wymalowane czarnym tuszem wzory jakichś mitologicznych kreatur,

tajemnicze (dla mnie) symbole i litery. Mimo iż byłam niezmiernie zmęczona (moja podróż trwała już ponad trzydzieści godzin), zwróciłam na to uwagę, wyglądali naprawdę niezłe.

– Hej. Szukasz noclegu? – zagadnął jeden z chłopaków.

– Tak!

– Mam pokój.

– Ile?

Okazało się, że stół należał do knajpki położonej przy hostelu, którego ów chłopak był pracownikiem. Pokój był niezbyt tani, ale – jak się okazało – generalnie Borneo jest dość drogie. Miał okno, materac na podłodze i wspólną dla całego piętra łazienkę w korytarzu. Było tam w miarę czysto.

– Zostaję. Dwa dni minimum. Czy można u was kupić piwo?

– Tak, mamy piwo.

„No to git” – pomyślałam.

Zamiast położyć się spać, ogarnęłam się nieco, wzięłam papierosy i poszłam do baru. Okazało się jednak, że papierosy nie są najlepszym *icebreakerem* na Borneo. Muzułmanie tam raczej nie palą. Nie piją też piwa. Siedzieli przy kawie. Tylko jeden z mężczyzn, z wytatuowanym krzyżem, palił.

Piwo na Borneo jest horrendalnie drogie. Mała buteleczka kosztuje kilka dolarów. Nie ma tam żadnych browarów, wszystko jest importowane. Generalnie piwa się nie pije, jest przywożone tylko dla turystów i pewnie stąd jego obłądna cena. Nie znaczy to jednak, że mieszkańcy Borneo (mówimy tu rzecz jasna o wyznawcach innych niż islam religii) nie piją alkoholu. Owszem, pędzą bimbę. Diabelsko mocny i niesmaczny trunk. O jego degustacji opowiem chwilę później.

Udało mi się złapać kontakt z nowymi kolegami z Kuching i nawiązać rozmowę. Mówili dobrze po angielsku. Okazało się, że była to grupa tatuażystów z „salonu” położonego nieopodal.

Podczas rozmowy pierwszy raz usłyszałam o lokalnych plemionach i ich zwyczajach, między innymi o tradycyjnym, czy też raczej rytualnym tatuowaniu młodych mężczyzn. Podobno po tatuażach można poznać, z jakiego plemienia ktoś pochodzi.

Dzień później dowiedziałam się, że moje piwo wypiliam w towarzystwie nie byle kogo. Jeden z moich kompanów znany jest jako „najlepszy tatuażysta świata”. Przypuszczam, że o wielu tatuażystach krążą takie pogłoski, ale faktem jest, że Malesja słynie ze sztuki tatuażu, a oglądając wzory, którymi ozdobione były ręce, szyje czy plecy moich nowych znajomych, uznałam, że rzeczywiście coś w tym jest. Po prostu dzieła sztuki.

– To jak? Zdecydujesz się na tatuaż? – spytał jeden z Malesyjczyków.

Hm. Myśl była niezwykle kusząca. Ale widziałam ten ich salon – w obdrapanej, brudnej, starej kamienicy – i mimo całej sympatii do nowych kolegów stwierdziłam, że raczej nie zaryzykuję. Zarażenie żółtaczką czy innym świństwem to zdecydowanie nie jest ten rodzaj adrenaliny, którego poszukuję w życiu. Podziękowałam dyplomatycznie, odpowiadając, że chętnie bym się skusiła, ale moja mama mi nie pozwoliła. Pokiwali ze zrozumieniem głowami. Myślę, że po tej wypowiedzi paradoksalnie zyskałam w ich oczach: „Może i nie jest muzulmanką, ale przynajmniej słucha mamy”.

Moi nowi koledzy opowiedzieli mi też o łowcach głów. O tym, że odcinanie i mumifikowanie głów wrogów było wiekową tradycją na wyspie i że do dziś zmumifikowane głowy wiszą w tradycyjnych, długich domach na wsiach, w których mieszka czasem po kilka rodzin. Głowy wywieszane są (po dziś dzień) pod dachem, na ganku – wspólnym dla wszystkich zamieszkujących dany dom lokatorów – i mają chronić ich przed złymi mocami, jakby dając im dodatkowo siłę ich wrogów.

– Ale ten zwyczaj odszedł już do historii? – spytałam.

– No... w sumie tak... Ale zrozum, Borneo to naprawdę dzika wyspa, w głębi dżungli może zdarzyć się wszystko.

Myślałam, że mnie wkręcą, jednak usłyszałam potwierdzenia tych opowieści od kilku innych przedstawicieli lokalnych plemion, których spotkałam po drodze. A tak na marginesie, odcinanie głów to może najbardziej przemawiająca do wyobraźni, acz chyba nie najgorsza z rzeczy, które miały bądź mają miejsce w borneańskiej dżungli. Rozwinę tę myśl nieco później.

Jak już wspomniałam, do podróży się nie przygotowałam. Nie była to najmądrzejsza decyzja. Okazało się, że busy, noclegi w parkach narodowych i turystyczne atrakcje były zarezerwowane z wyprzedzeniem – nigdzie nie dało się znaleźć wolnych miejsc. Aha, i jeszcze jedna ważna informacja. Był ramadan. To mocno ograniczało możliwości jedzenia, picia czy jakiegoś socjalizowania się z lokalnymi mieszkańcami za dnia. Nawet jeśli jakieś knajpki były otwarte, to świeciły pustkami. Kuching – mimo ciekawych rozmów – oszałamiające nie było... Co chwilę padał deszcz, a tamtejszy deszcz to po prostu ulewa, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Oberwanie chmury, ściana wody.

Tu zagadka – o jakim elemencie ekwipunku warto nie zapomnieć, kiedy wybieramy się do lasu deszczowego? Czyżby o kurtce przeciwdeszczowej? Zgadnijcie, czego zapomniałam spakować do plecaka...

Park Narodowy Bako

W Kuching zostałam ładnych parę dni, bo to dobry punkt wypadowy do położonego nieopodal Parku Narodowego Bako oraz rezerwatu orangutanów. Do parku udałam się tylko na jeden dzień,

bo nie udało mi się... niespodzianka... znaleźć tam noclegu. Wiedziałam zatem, że to będzie intensywny dzień trekkingu. Z miasta wyjechałam koło 5.00 rano, złapałam pierwszy autobus, następnie łódź. Na szczęście łodzie były pięcioosobowe, co pozwoliło mi dołączyć do dwóch miłych par – z Niemiec i Belgii. Umówiliśmy się, że będziemy również wracać wspólnie, około godziny 16.15, żeby zdążyć na ostatni autobus do Kuching, który odjeżdżał po 17.00.

Dojechałam do położonego na półwyspie parku Bako i byłam oszolomiona pięknem krajobrazu. Błękitna woda, soczyście zielone wzgórza. W parku wytyczono kilka tras, zdecydowałam, że wybiorę jeden z dłuższych jednodniowych szlaków. Pierwszy raz maszerowałam po prawdziwej tropikalnej dżungli. Niezwykle doświadczenie. Nie spodziewałam się aż takiej wilgotności w lasach i suchego żaru na płaskowyżu. Świetna trasa, częściowo dość stroma. Idąc po lesie, pomyślałam, że to wszystko prawda, co wyczytałam w przewodniku Lonely Planet – kilometr w dżungli to jak dwa na innym szlaku, a pocilałam się tak, że wreszcie dowiedziałam się, po co człowiekowi brwi. Otóż gdyby nie one, pot w takich sytuacjach zalałby nam oczy. W tym kontekście moje krzaczaste brwi okazały się niezwykle funkcjonalne. To nie było zwykłe zmęczenie i spocenie – jak po nawet cięższym wysiłku fizycznym. I wybaczcie naturalistyczne opisy, ale miałam wrażenie, że całe moje ciało zaraz zamieni się w ciecz. To nie były strużki, to były rzeki potu. Nie wiem nawet, do czego to porównać. Bo nie chodzi tylko o upał, ale również o wilgoć w powietrzu i samą trasę pod górę – ten miks sprawia, że człowiek czuje się, jakby wspinał się po stromych schodach w saunie. To chyba najbardziej obrazowe i najlepsze porównanie.

Nawiasem mówiąc, kilka dni później spotkałam w hostelu... autora wspomnianego przewodnika i miałam okazję mu osobiście powiedzieć, że miał całkowitą rację, opisując trekking w dżungli.